Nr. 32. We Lwowie dnia 9. sierpnia 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

DEMOKRATYZACJA WIEDZY.

I.

„UNIVERSITY EXTENSION“.

Ruch demokratyzacji ukształcenia uniwersyteckiego, któremu początek dał w r. 1873 prof. z Cambridge Junus Stuart, mimo złowróżbnych przepowiedni molów gabinetowych, rozwinął się zdumiewająco szybko. Dzieje tego ruchu — to świetna, tryumfująca antyteza ciasnej i zazdrosnej doktryny sobkostwa klasowego, któreby rado zatrzymać przywilej ukształcenia wyższego na wyłączne dobro klas rządzących. Próżno hipokryzja, drapując się w fałdy nauki, siliła się na dowiedzenie, że wyższa nauka dostępną jest tylko dla dobrze urodzonych: zaledwie bowiem zrobiono pierwsze kroki, zaledwie po raz pierwszy nauka zstąpiła z katedry i poczęła głosić swą ewangelję wśród tłumów — gdy rzeczywistość, przewyższając wszelkie oczekiwanie zadała kłam tym quasi-obrońcom ideałów naukowych. — W trzy lata po wystąpieniu Stuarta zawiązało się w Londynie słynne dziś na cały świat towarzystwo *London Society for the Extension of University teachery*. W roku 1878 Oxford wszedł w ślady Cambridge'a zaś zaraz po nim w Manchester rozpoczął demokratyzację wyższej oświaty *Victoria University*. Tak więc, luźne początkowo wykłady publiczne, koordynując się i organizując w całość stworzyły wkrótce niby jeden olbrzymi uniwersytet ludowy, w którym w krótkich lecz sumiennie opracowanych serjach wykładów, profesorowie uniwersytetów objęli wykłady wyższej nauki z przyrody i z nauk humanitarnych, z techniki i filozofji.

Ażeby zrozumieć jakie rozmiary ruch ten przyjął w Anglji, dość wiedzieć, że we wrześniu 1894 roku sam tylko oxfordzki uniwersytet liczył 160 centrów konferencji publicznych, obsługiwanych przez 29 profesorów. Liczba słuchaczy wynosiła 20.809, liczba wykładów 1544!... — W całej wogóle Anglji nie mniej jak 60,000 osób, pochodzących przeważnie z ludności robotniczej, korzystało w ten sposób z ukształcenia wyższego.

W Belgji ruch ten datuje się od czasów jeszcze wcześniejszych — mianowicie od chwili, kiedy dr. Burggraef stworzył w Gand systematyczne popularne wykłady astronomji, medycyny i t. d.

Ruch przedostał się również za Atlantyk, gdzie w Stanach Zjednoczonych przyjął wkrótc prawdziwie »amerykańskie« rozmiary, grupując przy wspólnem apostolstwie setki profesorów i prowokując hojne datki publiczności.

W Austrji wreszcie wszechnice Wiednia, Pragi, Gratzu weszły między sobą w porozumienie co do zorganizowania.

Otwarto więc, po otrzymaniu 5000 guldenów zapomogi państwowej, kursa popularne uniwersyteckie w r. szkolnym 1894—5. Ustrój tych kursów jest obmyślany bardzo praktycznie. Ciało uniwersyteckie robi niejako wycieczkę po za mury wszechnicy i tam, w swobodnych lokalach przedmieść i okolic podmiejskich propaguje słowo nauki wobec audytorjum, które nigdy dotąd z niem się nie znało. Kursa są zwięzłe, treściwe; przykłady i demonstracje czerpane są obowiązkowo ze sfer życia najbliższych słuchaczom; język oczyszczony nieco z przerażającej terminologji gabinetowej nic na tem nie traci. Całość zaś wykładów podaje kolejno, w serjach po 6, 12 konferencji, ogólne zasady umiejętności przyrodniczych i humanitarnych. — W Wiedniu jeszcze przed inicjatywą wszechnicy towarzystwo *Wiener Volksbildungsverein* stworzyło około 30 c
trów oświaty popularnej. Liczba słuchaczy mn
lub więcej systematycznych wykładów z histo

przyrody, prawa, mechaniki, agronomji, rachunkowości itp. wynosiła w r. 1894—5 około 70000. Wykłady urozmaicono muzyką, obrazami latarni czarnoksięskiej, urządzano również lekturę utworów artystycznych. W ten sposób działalność towarzystwa zbliżała się nieco do charakteru innej równie sławnej na cały świat instytucji — londyńskiego Pałacu Ludowego.

Tam jednak ruch demokratyzacji ukształcenia uniwersyteckiego ma zadanie całkiem określone i jakkolwiek jako zjawisko społeczne czy moralne, zbliża się do ruchu którego wyrazem jest Pałac ludowy, to jednak ma swój cel odrębny i sam w sobie wystarczający.

Nie chodzi tu mianowicie o zajęcie tej odrobiny wolnego czasu, którą praca pozostawia ludowi, zabawą szlachetną, nie chodzi o poddanie mu rozrywki pouczającej, ani o konkurencję, bardzo zresztą chwalebną z szynkiem. W ruchu zwanym *university extension* chodzi rzeczywiście i przedewszystkiem o samo ukształcenie, o wyższe ukształcenie ludu. Oczywiście, że nawet najpopularniej opowiedziana całość dajmy na to historji nowożytnej, wraz z ekonomją, zasadami prawa, nie jest dostępną dla najszerszego ogółu ludowego. Między analfabetą lub mało co od niego wyższym uczniem szkółki elementarnej, a wiedzą tego rodzaju istnieje zbyt wielka przepaść. Systematyczna, uporządkowana wiedza przyrodnicza, czy humanitarna, wymaga w każdym razie pewnego wysiłku konsekwentnego i stałego, pewnej ciągłości w pracy umysłowej, na którą przeciętnego biedaka nie stać często ni materjalnie, ani psychologicznie. Dla tych więc Pałac ludowy, luźne odczyty, popularne wydawnictwa stanowić muszą niemal wyłączne źródło oświaty — po za szkółkę elementarną.

Jest jednak wśród wielomiljonowej rzeszy ludu przynajmniej wielotysięczna kategorja, dla których taki ruch uniwersytecki jest rozkoszą i zbawieniem duszy. Są to ci samoucy, którzy mozołem własnej myśli zdołali sobie już co nieco przyswoić nie tylko z faktów, lecz i z metod nauki; są to ci »ciekawi«, którzy mogą już swą ciekawość zaspakajać nieustanną, systematyczną, a postępową pracą myśli. Dla tych wyrobienie sobie jakiejś spójnej całości, jakiejś filozofji życia i myśli — jest taką samą potrzebą, jak dla nas — ludzi systematycznej nauki od kolebki do mogiły. W Anglji ta to właśnie kategorja dostarczyła owe 60.000 gorliwych adeptów »university extension«.

W tem tkwi doniosłość i przyszłość demokratyzacji wiedzy uniwersyteckiej. Jest ona koniecznem uwieńczeniem zjawiska, które wszyscy znamy, mianowicie samouctwa ludowego. W tych [illegible]nych od pedanterji fakultetach, w tych cało[illegible]ch powiązanych w organiczną jedność na[illegible]wą — tłum samouków szuka i znajduje to, czego brak uczuwa najdotkliwiej, tj. systematyzację swych wiadomości chaotycznych, niezbędną podstawę do dalszej pracy myśli, do wyrobienia sobie jakiej takiej harmonji i konsekwencji w poglądach swych i ideałach.

(Dok. nast).

Antoni Potocki.

Zwrot ku scholastyce metafizycznej.

(Henryk Struve. — Wstęp krytyczny do filozofji. — Warszawa 1896 roku).

(Dokończenie).

Antropomorfizacja przyrody polega na przyznawaniu jej świadomości, zaczynając od atomu, a kończąc na ciałach niebieskich, i upatrywaniu przedustawnej celowości w przebiegu zjawisk i w ustosunkowaniu bytów. Czy tego rodzaju antropomorfizacja daje się usprawiedliwić? Świadomość znamy tylko w sobie. Wiemy bezpośrednio, że jesteśmy świadomi, pośrednio zaś, drogą wnioskowania przez analogję, że inni ludzie są również świadomi. Z mniejszem prawdopodobieństwem utrzymujemy to samo i o zwierzętach i to o tyle tylko, o ile czujemy się upoważnieni do tego przez zachodzące między nimi, a nami podobieństwo pod względem ustroju i życiowych objawów. Świadomość jest zjawiskiem życiowem i zależy jak najściślej od układu nerwowego, od stopnia jego rozwoju, tudzież od zmian, jakie w nim zachodzą tak normalnych, jak i przygodnych, wśród których najważniejsze znaczenie mają patologiczne. A zatem tylko tym istotom możemy przyznawać świadomość, które mają układ nerwowy. i to w takim tylko stopniu, jaki mniej więcej odpowiada ustrojowi tego układu. Przyznawać świadomość roślinom, a tem bardziej światu nieorganicznemu, jestto przekracz ć granice, jakie logika zakreśla naszemu wnioskowaniu. Świadomość nie jest bynajmniej jakimś pierwiastkiem, ale własnością pewnych zjawisk życiowych, które w przeciwstawieniu do innych, nieposiadających tej własności, nazywamy duchowemi. Świadomi jesteśmy o tyle tylko, o ile myślimy, czujemy, chcemy i działamy. Świadomość nasza nie jest ani stałą, niepodlegającą zmianom, ani ciągłą, niedoznającą przerw. Zmiany jej nietylko zależą od wieku, ale i od przygodnych okoliczności; co się tyczy jej ciągłości, to, pomijając sen, o którym trudno coś pewnego pod tym względem wyrzec, nie ulega wątpliwości, że podczas zemdlenia ustaje ona zupełnie.

Dusza jest tak samo pojęciem, jak niem jest materja. Nie oznaczają one nic innego, jak dwa szeregi zjawisk, z których jednego cechą jest rozciągłość, drugiego — świadomość. Odróżnianie ich ma swą przyczynę w odmiennych warunkach postrzegania zewnętrznego i wewnętrznego. Zjawiska, dostępne pierwszemu, zaliczamy do materji, dostępne zaś drugiemu — do ducha. Odróżnianie to więc ma znaczenie czysto podmiotowe. Nie upoważnia nas ono jeszcze do wniosku, że każdemu z tych zjawisk odpowiada jakiś byt, jakaś substancja. Jak bowiem z jednej strony nie masz bezwzględnej różnicy między postrzeganiem zewnętrznem, a wewnętrznem, gdyż oba są czynnościami tej samej świadomości; tak z drugiej strony, jeżeli w postrzeganiu zewnętrznem świadomość jest uwarunkowana naturą zmysłów, to w postrzeganiu wewnętrznem — budową mózgu. W obu tych wypadkach świadectwo jej ma wartość czysto względną. Opierając się na niem, nie mamy prawa utrzymywać, że materja jest bezwzględnie czemś różnem od duszy, gdyż ta sama rzecz postrzeganiu zewnętrznemu może się przedstawiać, jako materja, postrzeganiu zaś wewnętrznemu, — jako dusza, że, słowem, materja i dusza są tylko różnemi objawami tej samej rzeczy, której istota jest nam nieznana.

Co się tyczy celowości, to ta może być rozmaicie pojmowaną. Nowszemi czasy pod wpływem teorji rozwojowej ustaliło się zapatrywanie, że dostrzegany w świecie porządek jest skutkiem oddziaływania na siebie powszechnych żywiołów i wzajemnego ich przystosowywania się do siebie. Porządek ten zatem nie może być uważany za przedustawny, za narzucony światu z góry w chwili stwarzania go podług zamiaru, jakim się Stwórca kierował, przywołując go do bytu, Porządek świata bynajmniej nie jest ani tak stałym, ani tak doskonałym, jakimby być powinien, gdy był dziełem stwórcy. Ustalał się on stopniowo i powoli, jakoż za ostateczny i niezmienny uważać go nie można. Proces rozwojowy świata trwa dotąd i trwać będzie w przyszłości. Jeżeli jest w nim co stałego, to własności składowych jego pierwiastków.

Naturalnie, że pr Struve, który w swej filozofji usiłuje pogodzić wszelkie kierunki myślenia, nie wykluczając nawet teologicznego, nie godzi się na takie czysto deterministyczne pojmowanie celowości i występuje przeciwko niemu z całą siłą. Szkoda tylko, że doniosłość argumentów, jakimi się posługuje w swej walce przeciwko niemu, nie dorównywa jego zapałowi. Walczy on rozumowaniami czysto spekulacyjnemi, które w tym wypadku są mieczem obosiecznym. Rozumowania te tracą całe swe znaczenie wobec faktów, takich przedewszystkiem, jakiemi są te, któremi się zajmują patologja, teratologja, a nawet anatomja i fizjologja porównawcza, a które świadczą wymownie, że we wszystkich objawach życia, stanowiącego najwyższą formę przyrodniczego rozwoju, panuje jak najściślejszy determinizm.

Zdawaćby się mogło, że nasz autor, który obdarza całą przyrodę świadomością, a zatem każe jej myśleć, czuć i chcieć, pozwoli jej samej urządzać się u siebie, jak się jej podoba, a właściwiej, jak tego wymagają powzięte przez nią zamiary. Tak jednakże nie jest. Podług niego celowość świata jest tak doskonałą, że przyroda zdobyćby się na nią nie mogła — i dla tego potrzeba w niej uznać dzieło mądrości bożej, która, stwarzając świat, wszystko przewidziała i wszystkiemu nakreśliła drogę, wiodącą do ostatecznego celu — drogę prostą i niezmienną. Nastręcza się tu mimowoli pytanie: jeżeli przyroda nie jest odpowiedzialna za to, co się w niej dzieje, jeżeli wszystko w niej urządzonem zostało raz na zawsze podług planu, z góry powziętego i jej narzuconego, to czy świadomość, jaką autor ją obdarza, nie jest dla niej podarunkiem zgoła bezużytecznym?!...

Zaznaczyłem powyżej, że autor w zwalczaniu celowości deterministycznej posługuje się rozumowaniami czysto spekulacyjnemi, które są mieczem obosiecznym, gdyż dają się w równej mierze użyć i przeciwko zasadom, przez niego samego głoszonym. Tu muszę zauważyć, że na samych tylko spekulacyjnych rozumowaniach nie poprzestaje on wcale, lecz dla nadania im większej wagi ucieka się do argumentów bardziej praktycznych — do taktyki, którą już mieliśmy sposobność poznać, a która pozwoliła mu dokonać cudu, przemienić H. Lewes'a, zdeklarowanego przeciwnika metafizyki, w rozumieniu naszego autora, w gorliwego jej wyznawcę i obrońcę. Korzystając z tego, że Darwin, najgłówniejszy przedstawiciel nowego kierunku przyrodniczych badań, używa w swych dziełach wyrazu »celowość«, zalicza go bez najmniejszych skrupułów sumienia do wyznawców celowości opatrznościowej, pomimo że z samej treści jego dzieł mógłby się łatwo przekonać, że celowość pojmuje on jako skutek powszechnej walki o byt i wzajemnego przystosowania się do siebie żywiołów świata, a więc, jako główny objaw procesu rozwojowego. Zliczywszy starannie, ile razy w jednem ze swych dzieł użył Darwin wyrazu celowość, wyprowadza stąd wniosek, że sumienny badacz, chociażby jak najbardziej był uprzedzony do pewnych prawd, musi je w końcu uznać, gdyż ich oczywistość jest większa nad wszelkie wątpliwości. Jedną z takich prawd ma być właśnie celowość opatrznościowa.

Potrącone przezemnie punkty w niniejszem sprawozdaniu, wystarczą, o ile mi się zdaje, do urobienia sobie dokładnego pojęcia tak o przewodniej myśli dzieła p. Struvego, jakoteż o jego metodzie. Nie zgadzając się z jego autorem ani pod względem kierunku jego myślenia, ani pod względem sposobu traktowania rzeczy, muszę przyznać, co zresztą już na samym początku

powiedziałem, że książka jego może oddać pewne usługi naszemu społeczeństwu. Obznajamia ona czytelnika z zagadnieniami filozofji wogóle i z wymaganiami, jakie są niezbędne dla oddającego się jej uprawie. A jakkolwiek rozumowania autora mogą wywrzeć wpływ mniej pożądany na umysły, nie zaprawione do samodzielnego myślenia, wpływu tego tak bardzo obawiać się nie można. Juste-milieu, jakim jest każdy eklektyzm, jak w polityce, tak i w filozofji nie może zadowolić gorętszych umysłów, spragnionych rozległych widoków Dzieło p Struvego pod tym tylko względem może szkodliwie oddziałać, że swą powagą uświęci uprzedzenia do całego ruchu filozoficznego, jaki u nas objawił się w ciągu ostatnich lat trzydziestu. Pomimo bowiem ściśle naukowego stanowiska, jakie autor zajął w swem dziele, nie potrafił on zdobyć się na bezstronność w ocenianiu szczególnych objawów tego ruchu. Z samej już zasady jest on przeciwny doświadczalnemu kierunkowi, zwanemu najniesłuszniej pozytywistycznym, gdyż z pozytywizmem właściwym nie wiele ma wspólnego; z tem wszystkiem w jego wystąpieniach przeciwko niemu nie małą gra rolę niechęć i żal do tych, co go uprawiali. Stanęli mu oni w poprzek drogi w pierwszych chwilach jego zawodu i nie pozwolili zająć stanowiska, jakie mu się tak z tytułu, jak i ze względu na jego wiedzę słusznie należało. Dlatego też dzisiaj, kiedy wskutek zmian w powszechnym nastroju społeczeństwa czuje się być panem sytuacji, wypowiada o przedstawicielach ruchu filozoficznego u nas sądy tak dalece stronne, że byłyby bardzo śmiesznemi, gdyby nie były smutne. Podług nich każdy, co zabiera głos w duchu pokrewnym sposobowi jego myślenia, jest już filozofem prawowitym, chociażby w jego elukubracjach nie było ani wiedzy, ani logiki zdrowej; przeciwnie, przedstawiciele kierunku doświadczalnego, nawet tacy, jak Świętochowski i Marburg, łączący gruntowną wiedzę i samodzielność myśli z talentem pisarskim, są jakiemiś miernotami, którym, jeżeli się i dało miejsce obok innych, to tylko dla wykazania nicości ich wywodów. Że w tem, co powiadam, nie ma żadnej przesady, dowodzą tego liczne ustępy dzieła, poświęcone hr. W. Dzieduszyckiemu, którego zdania i zapatrywania cytowane są z namaszczeniem, jako jakiejś powagi, przez cały świat uznanej. W swych sądach o świeżo zamianowanym profesorze estetyki na uniwersytecie lwowskim opiera się on przeważnie na jego „Rozmyślaniach“, w których tyleż jest filozofji, ile n. p. poezji w utworach wielebnego Baki.

Prof. Struve sam zawyrokował, że cechę filozofji stanowi przedewszystkiem to, że nie wygłasza ona żadnego twierdzenia bez dostatecznego dowodu. Tymczasem autor »Rozmyślań« wypowiada najparadoksalniejsze zdania, bynajmniej nie troszcząc się chociażby o pozorne ich uzasadnienie. Są to apodyktycznie wygłaszane pojęcia i zapatrywania, których głównem źródłem jest pamięć, mniej lub więcej wiernie odtwarzająca to, co się gdzieś i kiedyś przeczytało i fantazja, łącząca we właściwy sobie sposób przygodne reminiscencje. Czytając je, doznaje się wrażenia, jak gdyby się miało przed sobą dzieciaka, który, siedząc na kupie piasku, przesypuje go z ręki do ręki. Jeżeli tego rodzaju dzieła mają być pochodniami oświaty narodowej, to smutna przyszłość nas czeka! Prof. Struve stawia pana W. Dzieduszyckiego na równi ze Straszewskim, Pawlickim, Raciborskim, Skórskim, z którymi można się nie zgadzać, ale którym nie można odmówić ani znajomości rzeczy, ani umiejętnego ich traktowania. Czy z takiego porównania będą bardzo zadowoleni ci panowie — na pytanie niech oni sami odpowiedzą.

Ze swej strony zauważę tylko, że wypowiadając swe sądy o p. W. Dzieduszyckim, prof. Struve nie znał jego najważniejszego dzieła, jakiem jest traktat »O wiedzy ludzkiej«, dzieła, które mu zapewniło tytuł profesora estetyki. Gdyby był znał je, z pewnością postawiłby jego autora na czele wszystkich pracowników na polu filozofji. Pamiętajmy bowiem, że chociaż o wiedzy pisało wielu Niemców, Francuzów itd. nikt z taką dokładnością nie dał obrazu nie-wiedzy, jak nasz autor i nikt tak dosadnie nie dowiódł, że im większą jest niewiedza, tem jest ona pewniejszą siebie. Jakoż pewność autora, z jaką zabiera się do rozstrzygania o najważniejszych zagadnieniach wiedzy ludzkiej, jest tak wielka, że wobec niej sam Falb ze swemi przepowiedniami czułby się musiał upokorzonym!

Władysław Kozłowski. (Lwów).

Z JAWORYNY.

(Ciąg dalszy).

— Mamy już dwie wspólne sympatje: koniak i Jaworyna, — odezwała się...

— Dwie, i może jedyne, — odparł.

— Łatwo to sprawdzić; wobec tych gór zdobędziemy się chyba na szczerość; fałsz byłby tu wstrętnym dysonansem.

— Dla czegóż tylko tutaj mamy być szczerzy:

— Muszę pana ostrzedz, wtrąciłam się do rozmowy — że Bronia wpadła w pesymizm z powodu własnej szczerości i łatwowierności.

— Rozumiem, — skinął głową. — Pierwsze rozczarowania bardzo bolą. Ale to nie racja, by innych obdarzać tą samą monetą.

— Gdyby można wiedzieć, kiedy warto być szczerą!

— Zawsze warto być sobą. Chociaż — dodał po chwili — i to nie prawda! Czasem nie wolno być sobą.

— Nic nie rozumiem.

— Ale pani zrozumie, u nas każdy zrozumieć to musi.

— Nie wolno być sobą wobec wrogów? — zapytałam. — To niebezpieczna zasada.

— Źle mnie pani zrozumiała, zdaje mi się. Nie mam na myśli tej ostrożności, która wymawia się lada tchórz — lecz wiem, dodał z przejmującą siłą w głosie, że nie możemy często iść tam, gdzie nas ciągną: usposobienia, zdolności, że nie wolno nam myśleć o własnem szczęściu, choćby ono pozornie muchy nawet nie okrzywdziło. Bo i to szczęście nawet nakłada obowiązki, zużywa część tych sił, które w całości innemu celowi poświęcić trzeba.

— Dla tego mówiłem — dodał po chwili spokojniej — że nie wolno być sobą.

— I nie można tak siebie przerobić? — cicho spytała Bronia.

Spojrzał na nią smutnemi oczami, i odparł również przyciszonym głosem:

Można, jeżeli ukocha się nadewszystko swój cel.

— Gdyby jednak wszyscy podzielali zdanie pana, cały świat składałby się z ludzi dobrowolnie nieszczęśliwych. A któżby pragnął takiego stanu rzeczy.

— Widzi pani, to jest tak. Gdyby wszyscy ludzie wzięli się jednocześnie do jednej roboty, naprzykład do orki, to nietylko zabrakłoby nam pługów, ale nawet ornej ziemi. Lecz jeśli jest za mało oraczy, to nie jeden z nich musi myśleć tylko o tej orce, nie prawdaż?

A może widzi po za nią jeszcze inne cele w życiu, może radby wyprostować ramiona i śmiać się do życia, jak inni. Tymczasem on za tych innych musi orać.

— A jaką ma nagrodę?

— Nie każdy żąda, a nawet pragnie nagrody. Dla niektórych każda piędź zoranej ziemi jest już nagrodą.

— Jeżeli tych oraczy pochłania sama praca, odmawiam im prawa skargi, bo mają czego pragną...

— Tak to jest w przenośni — lecz w życiu... bywa inaczej; ci ludzie czasem chorują na zolbrzymiały w nich gniew, tak że w końcu radziby cały świat dynamitem wysadzić, inni dla »porządku społecznego« w świat wyrzuceni, wykrzywiają się w dziwolągów, większość składa broń i patrząc na młodych nowych oraczy, kiwa ręką pobłażliwie lub nazywa ich warjatami. Inni przez całe życie pysznią się jedną zoraną skibką. Jest to zwykły koniec ludzi, którym zachciało się za innych pracować A jednak tak być musi.

— I ludzie muszą marnować życie?

— Kto może powiedzieć, że nie zmarnował życia? Ci chyba, którzy z miłością do wiedzy dla niej pracowali i to do wiedzy konkretnej. Fakt zdobyty pozostanie faktem, który sprawdzić można. Lecz kto tylko ma na uwadze etykę, poprawę warunków ludzkiego bytu, ten choruje na ciągłą niepewność: dobrzem uczynił, lub źle? chyba że ma w głowie miejsce tylko na jedną doktrynę. Taki może też zmarnować życie, lecz przynajmniej sam o tem nic nie wie.

— Ach, panie; już nie mam złudzenia, że te góry są szańcami, chroniącemi od bólu; przyniósł go pan tu z sobą — rzekła Bronia.

Ogarnął ją serdecznym wzrokiem.

— A tak chciałbym oderwać się od... wszystkiego, szepnął, i nabrać sił.

— Więc przypatrzmy się górom — poradziła dziewczyna.

— Dobrze.

Lecz wzrok jego wciąż biegł ku Broni. Dziewczyna miała niezłe rysy, ale wdzięku moc i tak ślicznie teraz patrzała oczami rozszerzonemi zadumą.

Spojrzała na niego i uśmiechnęli się do siebie łagodnym mimowolnym uśmiechem. Gdybym ich w tej chwili po raz pierwszy widziała, pomyślałabym: ot, zakochana para!

Ej Broniu! rozmarzyły cię góry, a ten szczególny człowiek może pociągnąć. Kto to jest? I jak się to wszystko skończy?

A oni rozmawiali półgłosem, sobą tylko zajęci.

— Czy dosyć jest chcieć, aby zostać takim oraczem? pytała, takim człowiekiem... idei?

— Można zawsze spróbować.

— A gdybym ja zaczęła bardzo nieśmiało, — gdybym... bo widzi pan, jeżeli ktoś nie ma określonego celu w życiu, tylko bierze to, co mu los nadarzy, to choć stara się nic złego nie zrobić, ten nie korzysta całą pełnią z życia — temu do oraczów daleko, nieprawdaż.

— To jest życie bierne — mówił. — Człowiek staje się podobnym do drzewa, które daje cień, jeśli przypadkiem ktoś z wędrowców pod niem odpocznie, daje owoc, jeśli go kto zerwie Gdyby człowiek mógł zamienić się w takie drzewo, może byłby szczęśliwym.

— I to *pan* mówi!

Pokiwał głową.

— Człowiek taki słaby — odparł — ot dziś budzi się we mnie taki egoizm... Czy pani śpiewa? zapytał nagle.

— Tak, trochę...

— A pani? — zwrócił się do mnie.

— Lubię słuchać śpiewu — odparłam.

— Może zaśpiewalibyśmy co?

I zaczął wyliczać, nucić mnóstwo pieśni swojskich, ludowych, moniuszkowskich, ukraińskich. Wielu z nich nie znałyśmy wcale. Śpiewał on sam, czystym, głębokim barytonowym głosem, śpiewali we dwoje, śpiewaliśmy wszyscy.

Zauważyłam, że często wracała mu na usta zwrotka ukraińskiej dumki:

A ja stoju, taj dumaju,
Szczo wernet'sia wesna,
A mołodost' ne wernet'sia,
Ne wernet'sia wona.

Jakby dla odpędzenia smutnej, upartej myśli wybuchał potem jakąś wojacką pieśnią:

Zaczął właśnie ostro:

Hej! ramię do ramienia.
Hej! strzemię do strzemienia...

gdy gorący blask przerwał nam śpiewy. To szczyty górskich fal zajaśniały glorją zachodu; na granatowych podnóżach całą gamą odcieni jaśniały płomienie złota i purpury. Ocknęły się olbrzymy, tytany wznieciły pożar, na znak utajonego życia. W naszych oczach cały świat gorzał, budząc w duszy jakieś wielkie, a niepochwytne pragnienia, jakiś zapał i poczucie wielkiej w sobie siły. Jak długo to trwało — nie wiem, lecz wrażenia z tych chwil do żadnego odczuwanego dotąd porównać bym nie mogła.

Pomału, zwolna, glorja blednąć zaczęła.

Czar prysnął. Obejrzałam się w około i przypomniałam sobie, że jestem na Jaworynie, że obok mnie stoi tych dwoje zapatrzonych w szarzejące szczyty. Trzymali się za ręce jak dzieci.

Gdy zgasł ostatni promyczek rozplotły się ich dłonie i staliśmy tak długo w milczeniu.

— Hej! hej! — doleciał nas głos wołającego Wrony.

— Czas wracać!

— Już! — odrzekli jednocześnie.

— Wrócimy tu jeszcze! — zawołała Bronia.

Schyliła się i zerwała gałązkę z kępy krzaków.

On poszedł za jej przykładem.

— Masz, połowa dla ciebie — rzekła podając mi gałązkę. — A to dla pana — dodała.

— Pan pojedzie z nami? rzekła Bronia tonem, nieznoszącym opozycji.

Nasz X., szedł za nami i milczał.

— Wrócimy tu, prawda panie, wrócimy.

— Wrócimy.

— I będziemy rozmawiali, jak jeszcze nigdy z nikim nie rozmawiałam.

— I będziemy rozmawiali, — powtórzył niby posłuszne echo.

— Wie pan, ciągle mam przed oczami widok zachodu.

— I ja.

W milczeniu doszliśmy do wózka.

(Dok. nast.). *Antonina Morzkowska*,

CHŁOP FILOZOF.

(Dokończenie).

Dodel-Port przdstawia bardzo szczegółowo dobę, w której Deubler wystawiony był na prześladowania, a czyni to na podstawie zapisek Deublera i aktów urzędowych.

W maju 1853 roku został Deubler i 15 jego przyjaciół politycznych uwięziony pod zarzutem zdrady stanu, obrazy uczuć religijnych, tudzież za »złośliwe (sic) rozpowszechnianie zakazanych książek treści demokratycznej«. Zawieziono go do Grazu dla ścisłego śledztwa. Przebył tam rok w więzieniu.

Klasycznym prawdziwie jest akt oskarżenia a zasługą profesora zurychskiego jest, że podał go dosłownie, bo i dziś jeszcze niekiedy pokutuje podobny duch metternichowski, w głowach biurokracji. Niechże się, jak w zwierciedle przejrzą w tym konterfekcie. Oto oskarżenie:

»Jakkolwiek z przeprowadzonego śledztwa niepodobna udowodnić formalnego i z niebezpieczeństwem dla państwa połączonego spisku, to jednak ze znalezionych listów i niektórych zeznań nie podlega wątpliwości, że pomiędzy podejrzanymi istniała wspólność przekonań, że utrzymywali stosunki i liczyli na wzajemną pomoc. Wszyscy byli republikanami i naturalistami (!) albo niemieckimi katolikami, a środkami do rozpowszechniania zapatrywań i pozyskiwania nowych sprzymierzeńców były: »obelgi na dom panujący, przedstawianie nędzy robotników i chłopów, wygadywanie na zbytki dworu, na przeciążenie podatkami, na zbyt liczną armję i urzędników, na pieniądze papierowe i prorokowanie wskutek tego niedalekiego bankructwa państwa i wybuchu rewolucji — a dalej w podżeganiu na porządek istniejący, ażeby położyć kres nieznośnej tyranji, a co najgorsze, w przedstawianiu i wychwalaniu północno-amerykańskiej republiki, taniości tamtejszych rządów i środków do życia« itd.

Uczony obywatel wolnej Szwajcarji, zacytowawszy ten akt oskarżenia, dodaje zdumiony:

»Niepodobna pominąć okoliczności, że dla zebrania materjału do uzasadnienia oskarżenia, kórego zgoła pojąć nie możemy, a którego osnowa uderza nas niemal jakby jaki fragment apokalipsy, przeszukano i przetrząśnięto blisko 100 domów obywatelskich«.

W specjalnym akcie oskarżenia Deublera znajdują się komiczniejsze jeszcze argumenta, jak naprzykład ten, że odbywał podróże za granice państwa, że w Dreźnie zabrał znajomość z malarzem Robertem Kummerem, że zbierał, a potem sprzedawał zielniki, że u profesora Simonyiego brał lekcje botaniki, że miał znajomość z Dawidem Straussem, poetą Leopoldem Scheferem, radcą pruskim Bennowitzem, Zschokem, Heinem, Saphirem, Palackim i kaznodzieją Steinackerem i korespondował z nimi. »Od podróżujących otrzymywał niektóre książki, ale większą część sam sprowadzał i żył jako naturalista wyznając przytem zasady republikańskie, o czem świadczy i dziennik jego własny, prowadzony wzorowo. Według świadectwa parafji był Deubler radykałem a dom jego ogniskiem wszystkich niezadowolonych«.

Koroną atoli mądrości prokuratorskiej i sędziowskiej jest zakończenie oskarżenia i oparcie podejrzeń na fakcie:

»że Konrad Deubler prowadził wielu przyjaciół do swego pokoju na piąterku, gdzie musiano omawiać sprawy niebezpieczne, bo żaden z jego przyjaciół nie był nałogowym pijakiem«.

Prawdziwie metternichowska etyka. Dobrymi obywatelami mogą być tylko ciemni, lekkomyślni albo pijacy! Trzeźwość i prawość, były to znamiona spisków. Do dziś jeszcze bezmyślności oddaje cześć zakorzeniona tradycja jako cnocie lojalności.

Po wyroku uwalniającym pierwszej instancji, puszczono Deublera w lipcu 1854 r.

Zaraz nazajutrz pisał Deubler do malarza Kummera: »Wczoraj wieczór powróciłem do mego rodzinnego kąta. Nie potrafię jeszcze napisać porządnego listu, bo wyzwolenie się z okropnej niedoli i przejście do wolności, zmąciły mój umysł. Potrafię tylko płakać z wielkiej radości«.

Radość atoli trwała zbyt krótko, bo unieważniono wyrok uwalniający i uwięziono Deublera ponownie w dniu 3. sierpnia 1854 r. po dwutygodniowym jego pobycie w domu. Odstawiono go tym razem do Igławy, gdzie w jesieni brzmiał wyrok na dwuletnie ciężkie więzienie. Zasadzono skazanego w kazamaty berneńskie.

Deubler przesiedział dwa lata w więzieniu, znosząc jako góral prawdziwe tortury. Powróciwszy po tylu przejściach nie stracił wprawdzie ochoty do badań samodzielnych, ale był odtąd przezorniejszy i cokolwiek skryty. Później zostawszy burmistrzem w Goizern łożył starania o rozpowszechnianie oświaty, ale został po trosze dyplomatą. Nie chciał, jak mówił, na starość dostać się powtórnie do więzienia za szlachetne dążności.

Żonie jego podczas jej osamotnienia pomagali liczni przyjaciele Deublera. Gospoda jego prosperowała, a on po powrocie z więzienia kupił małe gospodarstwo włościańskie i oddał się rolnictwu. Nie zarzucił atoli przedsiębiorstwa gospody, dorobił się mienia, odzyskał humor i zaczął studjować dzieła Rossmässlera i Moleschotta. Zapisał sobie o nich takie zdanie: » Z pism takich ludzi pojmuję życie lepiej, bo wszystko u nich wypływa z konieczności samej natury«.

Następnie około roku 1860 powrócił znowu do pism Feuerbacha a w r. 1862 przybył do Reichenbergu, ażeby osobiście poznać filozofa. Feuerbach polubił i pokochał Deublera, bo widział w nim człowieka natury, rozumiejącego tę naturę i rozmiłowanego w niej. Przyjaźń ta trwała przez dziesięć lat i rozwiązała ją dopiero śmierć Feuerbacha. W nowym domu Deublera, który zbudował sobie sam według własnego pomysłu, przepędził Feuerbach w gościnie kilka tygodni z całą rodziną.

Z tego okresu znajuje się korespondencja Deublera z wszystkimi niemal mężami umiejętności nowoczesnej. Feuerbach tłumaczył mu naturalne powstanie religji a tem samem przygotował go do przyjęcia i zrozumienia naturalnej historji stworzenia świata. Odtąd też były umysł jego i dusza w ścisłej harmonji ze wszelkiemi zjawiskami świata zewnętrznego. W nowszych czasach nie było materji naukowej i przedmiotu lub wypadku, z któremiby się Deubler nie usiłował zapoznać. Nic zatem dziwnego, że często z ironicznym uśmiechem wspominał o zdaniu prokuratora Wasera, który w procesie jego, podczas rozprawy powiedział rzecz, którą i dziś jeszcze powtórzą chętnie nieproszeni opiekunowie ludu. Oto słowa prokuratora:

»Państwo nie potrzebuje głów tych ludzi, tylko ich rąk! Zkąd chłopi przychodzą do tego, żeby się zajmować mineralogją, botaniką, astronomją, geografją itp. rzeczami. Dajcie im biblję i książkę do nabożeństwa w ręce i na tem basta«.

Wedle tej recepty chcianoby i dziś, zmodyfikowawszy ją nieco, karmić lud legendami, historją przykrojoną z góry według pewnych doktryn — byle nie tem, co może w istocie oświecić.

Głów takich, jaką była chłopa Deublera, i dziś sobie nie życzy większość. A jednak głowy

takie są i przybywać ich będzie coraz więcej, i złożą dowód taki sam jak Deubler, o którym mówi Dodel-Port w swojej pracy — dowód, że i człowiek z ludu zdoła umysłem nadążyć za polotem i ideałami uczonych i badaczy i że szczęśliwym się uczuje poznawszy prawdy naukowe.

Streścił *T. Sz.*

Przegląd pism.

»Ateneum« — Kwiecień — Maj — Czerwiec. — Warszawa 1896.

Treściwość sprawozdań naszych zniewala nas, podobnie jak przy omawianiu »Ateneum« z pierwszego kwartału, zwracać jedynie uwagę na rozprawy wartością swą wysuwające się na plan pierwszy.

Taką z działu »rzeczy społeczne i spółczesne« jest obszerna rozprawa pt. »Szkolnictwo francuskie od 1876 do 1895 r. Autor tej rozprawy, p. Jerzy Grot wykazuje, że reformy na polu szkolnictwa korzeniami swymi tkwią w usiłowaniach wielkich reformatorów francuskich z końca XVIII w. (Rouseau, Diderot, encyklopedyści) — podjęło zaś je społeczeństwo francuskie po nieszczęśliwej wojnie z Prusami.

Polegają one na doszczętnem zwalczeniu wpływu kościoła na szkolnictwo, na upaństwowieniu szkoły oraz na stworzeniu systemu oświaty publicznej »w którym szkoła elementarna, średnia i wyższa, wzajemnie się uzupełniając, tworzyć mają całokształt wychowania obywatelskiego narodu«. Skutki tych reform świadczą o ich wartości. Armia francuska w 1826 r. liczyła 52·2% analfabetów — w roku zaś 1892 tylko 7·4%.

Kwestją szkolną zajmuje się także p. Okolski w rozprawie pt. »Oświecenie publiczne w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej«. Jest to sprawozdanie z książki E. Kowalewskiego, pod tym samym tytułem z którego dowiadujemy się, że Stany łożą najwięcej ze wszystkich państw na cele oświaty (rocznie 400 miljonów rubli), że najwyższy procent (23%) ludności korzysta tam z wykształcenia — a co najciekawsze, że rezultaty te zawdzięcza społeczeństwo nie władzy państwowej, ale najrozmaitszego rodzaju władzom autonomicznym i komisjom.

W bardzo obszernej, a przytem bardzo nieścisłej rozprawie »Zadania państwa na polu gospodarstwa społecznego«. Dr. Wł. Czerkawski po powierzchownej krytyce »szkół socjalistycznych«, a po trafniejszej nieco »szkoły liberalnej; po twierdzeniu, że obie te szkoły hołdują kompletnej »unifikacji« w gospodarstwie; po stwierdzeniu wreszcie, że państwo ma dość siły by podjąć się reform gospodarczych — przechodzi autor do omówienia zadań tego państwa«. Państwo powinno się kierować e g o i z m e m a skutkiem tego powinno dbać o utrzymanie swego terytorjum i opieką je otaczać, troszczyć się o utrzymanie ludności w swem terytorjum (uchylać przyczyny emigracji) i zapewnić użytecznym (?) członkom społeczeństwa m i n i m u m e g z y s t e n c j i.

Również nie bardzo wyczerpującą lubo ciekawą jest rozprawa p. A. Korkisa pt. »Projekty i próby reformy agrarnej«. Autor po skonstatowaniu upadku rolnictwa w Wielkiej Brytanji, Francji, Niemczech i w Austrji zwłaszcza w rolniczych krajach alpejskich i Galicji, po rozpatrzeniu przyczyn upadku rolnictwa w historycznym rozwoju zastanawia się nad projektami roform agrarnych Vogelsanga, Rodbertusa i innych. Polegają one przedewszystkiem na zreformowaniu prawa spadkowego, na ograniczeniu wolności rozporządzania własnością ziemską, na ustanowieniu »maksymalnej granicy obdłużania« ziemi.

Z historycznych prac na uwagę zasługuje praca dr. Aleksandra Brücknera, profesora zwyczajnego literatur i języków słowiańskich uniwersytetu berlińskiego pt. »Z dziejów polskich różnowierców: Arjanie« — Znakomity nasz uczony zwraca w niej uwagę, że dotychczas nie wyzyskano różnic wyznaniowych z XVI i XVII w. w historycznej powieści polskiej, następnie zaś nie szczędząc uznania Arjanom, jako najpostępowszemu żywiołowi w ówczesnej Polsce, przechodzi ich dzieje, załączając przy końcu swej interesującej pracy tekst dysputy z 1568 r. pt. »Czy godzi się chrystyaninowi mieć poddanych i niewolników?«

Dział beletrystyczny i sprawozdawczy jak zawsze w Ateneum obfity ilościowo, a cenny ze względu na swą treść.

Zdzisław.

Wiadomości bibljograficzne.

Chołodecki Józef (Walenty Ćwik). Z ław szkolnych na Sybir. Podług notatek sybiraka opracował... Czerniowce. Odbitka z „Gazety Polskiej“ 1896. Str. 110.

Gorazda Wojciech. Silesiana. Z pamiętnika dziennikarza. Kraków 1896. Str. 84.

Guhl i Koner. Hellada i Roma. Przekład Stanisława Mieczyńskiego. Zeszyt 5. Warszawa 1896.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.